

J a n u s z L . W i ś n i e w s k i

I n t y m n a T e o r i a W z g l ę d n o ś c i

O zachwycie słowem

Jedni cytują Biblię („Na początku było Słowo i Słowo było u Boga, i Bogiem było Słowo”), inni przywołują do pomocy genetykę, twierdząc, że zdolność mówienia to nic innego jak tylko wynik ewolucyjnej mutacji pewnego genu na chromosomie Y oraz, równolegle, obecności krótkiej sekwencji FoxP₂ genów na chromosomie numer siedem. To rzekomo (badania są w początkowej fazie, nie da się stwierdzić, że jest to uznana lub obowiązująca teoria) dzięki mutacji chromosomu Y i proteinie kodowanej przez FoxP₂ ludzie mają (podarowane przez ewolucję) w mózgu obszary odpowiedzialne za mowę. I jest to fascynujący podarunek. Złożonością i możliwościami porównywalny do kodu DNA.

Jeszcze inni nie opowiadają się po żadnej stronie i mieszają genetykę z religią, twierdzą, że Bóg, tworząc życie we wszechświecie, przemawiał słowami CCAAGTTA, TAGGCCAA lub podobnymi, wyrwanymi ze słownika genomów mrówek, grzybów, bakterii, motyli i ludzi. Uważają, że „na początku był Genom, i Genom był przy Bogu i Bóg był Genomem”. Tak twierdzą głównie wierzący w Boga biolodzy, którzy owładnięci są ideą ciągłości ewolucji i nie przyjmują, że cokolwiek mogło powstać ot, tak sobie. Antropolodzy i lingwiści uważają natomiast, ci wierzący i niewierzący, że wyjątkowa zdolność do tworzenia i komunikowania się słowami została przyporządkowana jedynie przez Naturę lub Boga wyłącznie człowiekowi. Jak na razie, na początku trzeciego tysiąclecia, wyłącznie ci drudzy mają rację. Zwierzęta, jeśli mówią, to tylko w bajkach i w kreskówkach dla dzieci. Milczą nawet w wigilijną noc. Gdyby było inaczej, protokoły ich podsłuchanych rozmów już dawno można by przeczytać w Internecie. Słowa wypowiada jedynie człowiek. I to jest zachwycające...

Gdyby założyć, że ludzie posługują się w potocznym języku dziesięcioma tysiącami rzeczowników i czterema tysiącami czasowników (oglądając ostatnio telewizję, przekonuję się, że jest to zbyt optymistyczne i fałszywe założenie), to posługując się gramatyką, można połączyć te rzeczowniki i czasowniki w niewyobrażalną liczbę ponad sześciu i pół biliona zdań składających się z pięciu słów. Gdyby założyć, że dla wypowiedzenia każdego z tych zdań potrzebowalibyśmy tylko jednej sekundy, to wyartykułowanie ich wszystkich zajęłoby ponad milion lat. Kobietom kilka lat mniej oczywiście, ale mimo to i dla nich trwałoby to bardzo długo.

Czy w takim razie w drodze od niezrozumiałych pomruków *homo erectus* do poezji współczesnego *homo sapiens* pomagał Bóg, czy tylko pewne białko, jest dla większości z nas tak naprawdę tylko naukową ciekawostką. Faktem istotnym dla wszystkich — często

zupełnie nieświadomym — jest to, że człowiek istnieje tak naprawdę dzięki mowie. To zdolność mówienia i zdolność do miłości są jedynymi i niepowtarzalnymi wykładnikami jego fenomenu.

Bez słów nie powstałyby idee, które doprowadziły do tego, że pomiędzy odkryciem włócznie a umieszczeniem stacji orbitalnej w kosmosie minęło zaledwie dwanaście tysięcy lat. Ale mowa jako nosiciel postępu nie jest tym, co tak naprawdę zachwyca ludzi. Zachwycające w słowach jest to, co dzięki nim przeżywamy. I jakie przeżycia można nimi przekazać innym.

Od wynalazku Gutenberga z Moguncji, ponad sześćset lat temu, słuchającego i mówiącego, rozmawiających mogły oddzielić przestrzeń i czas. Słowa znalazły swoje miejsce w książkach i gazetach. Zachwyceni tym wynalazkiem ludzie zaczęli pisać. Zachwyty się pomnożył. Z liter powstała literatura.

Używając trzydziestu dwóch liter, można napisać i utrwalić nieskończenie wiele słów. Złożyć z nich wypowiedzenie z pracy, wyrok śmierci i akt zgonu, ale można także napisać coś tak genialnego i zmieniającego świat, jak Blaszyński bębenek.

Fascynacja słowem w książkach to nie tylko fascynacja informacją, którą te słowa niosą. Gdyby w beletryście zastosować matematyczny model Shan-nona, to okazałoby się, że większość literackich przekazów jest szumem, a nie informacją w termodynamicznym sensie teorii informacji.

Pomimo to ludzie chcą być zatopieni w tym szumie, znajdują w nim bowiem inspirację fantazji i początek chemii własnych emocji. Kiedy czytam w czasopiśmie naukowym o analizie sonetów Szekspira z punktu widzenia teorii informacji, to zawsze przypomina mi się anegdota o amerykańskim fizyku nobliście, sąsiedzie farmera, któremu nie niosły się z jakichś nieznanym mu powodów kury. Pewnego dnia farmer poprosił noblistę o radę i pomoc. Tydzień po wizycie na farmie noblista zadzwonił do biednego sąsiada i zaczął z nim rozmowę takim zdaniem: „Bill, na początku założmy, że kura jest okrągła...”. „Na początku było Słowo...”

Jeśli faktycznie Bóg jest tym Programistą, to i na „początku” Internetu Biblia się nie myli. Na początku Internetu (ponad trzydzieści pięć lat temu) pojawiło się bowiem słowo. Nawet jeśli miało być inaczej. Mało kto zna tę historię...

Wieczorem 20 października 1969 roku grupa informatyków w centrum komputerowym Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles (UCLA) po raz pierwszy w historii ludzkości doprowadziła do tego, że dwa komputery zaczęły „rozmawiać” ze sobą. Tym drugim był komputer w Stanford Research Institute w północnej Kalifornii. UCLA miało

wysłać słowo „log” (które tak naprawdę jest kodem i nic nie znaczy), a Stanford musiał potwierdzać każdą odebraną literę powtórzeniem tej litery. UCLA wysłało „L”, Stanford potwierdził „LL”. UCLA wysłało „O”, Stanford potwierdził „LLO”. W tym momencie zostało przerwane połączenie. Cały system przestał działać. Na ekranie w Los Angeles zostało „LLO”. I to jest tak niezwykle symboliczne. Amerykanie wymawiają „Hello” bardzo często z niemy „he” jako „(he)llo”. „Witam cię” było pierwszą wiadomością przesłaną w Internecie. I to wbrew woli nadawcy.

Na początku było słowo...

Układ odniesienia

SuKa jest Koreanką z Seulu, ma trzydzieści pięć lat i trzy lata temu przyjechała do Frankfurtu nad Me-nem „za mężem”, którego powszechnie znany, wielki koreański koncern samochodowy oddelegował do pracy w Europie.

Pewnego dnia mąż zadzwonił do niej późnym wieczorem z biura i powiedział, że za dwa miesiące przeprowadzają się do Frankfurtu nad Menem. Nawet nie powiedział. Tak po prostu to zakomunikował. Gdy ona szukała w atlasie, gdzie jest Frankfurt, on wrócił na Yeouido (odpowiednik seulskiego Manhattanu) i całą noc zabawiał się z hostessą z baru Ka-raoke. Rano prosto z jej łóżka pojechał do biura. SuKa tymczasem wypisała się z uniwersytetu, gdzie od sześciu semestrów studiowała anglistykę. Przerwała dla niego studia, tak jak kiedyś dla niego przerwała ciążę, gdy okazało się, że spodziewają się dziewczynki.

Pewnego dnia poszła do tego baru Karaoke. Hostessa nie była wcale ładniejsza od niej. Tylko młodsza. I bardziej kam-dza, czyli „biała”. Głównie przez to, że usunęła sobie tkankę tłuszczową na powiekach, „prostując” oczy. W Korei w modzie są małe piersi, alabastrowobiała cera i „wyprostowane” oczy. Dwa miesiące później SuKa pojechała do przyjaciółki w Sokcho na północy Korei. Wróciła po tygodniu. Bez tkanki tłuszczowej na powiekach. Mąż nawet tego nie zauważył. W Sokcho odważyła się i zapytała koleżankę, jak można poznać, że ma się orgazm.

SuKa każdego ranka wstaje godzinę wcześniej niż mąż, przygotowuje jego ulubione kimchi, układa kwiaty w wazonie i gdy on jest w łazience, prasuje jego koszulę — mąż bardzo lubi zakładać jeszcze taką ciepłą od żelazka.

We Frankfurcie mieszkają w najlepszej dzielnicy. Windy w budynku mają klimatyzację, monitor telewizyjny wyświetlający program MTV oraz kryształowe lustra na ścianach i na suficie. Kiedyś rano jechała jedną z nich, wioząc do pralni w piwnicy koszule męża. Na marmurowej podłodze windy leżały rozerwane koronkowe majtki. Nie wie dlaczego, ale zaczęła płakać. Jeszcze nigdy tak bardzo nie zazdrościła tej Niemce z mieszkania obok. Bo te majtki należały do niej. Widuje regularnie jej suszącą się bieliznę na balkonie, więc wie.

Sarah jest Niemką z Hamburga, ma trzydzieści jeden lat i rok temu przyjechała do Frankfurtu. Do pracy tutaj oddelegował ją znany francuski koncern kosmetyczny. Sprzedaje reklamy kosmetyków swojej firmy do najpoczytniej szych gazet w Niemczech z taką łatwością, jak inni sprzedają bułki w niedzielę rano. Większość kupujących reklamy

to mężczyźni. Nie spała tylko z czterema z nich. Dwóch z tych czterech to geje. Zna cztery języki, ma swoją asystentkę i jeszcze nigdy się jej nie zdarzyło, żeby jakiś mężczyzna nie zadzwonił do niej po wspólnej nocy. Poszukuje tego „na całe życie”, wierzy w prawdziwą miłość, ale potrafi przy tym odróżnić tych, którzy zakochują się we własnym libido, a nie w niej. Kiedyś znajdzie tego „prawdziwego”, ale na razie nie spieszy się jej. I spędza czas z „falszywymi”. Ma orgazmy i zbiera doświadczenia. Zna także swoje granice. Rozbierze się i stanie przed mężczyzną tylko w szpilkach, ale nigdy nie zgodzi się użyć obcasu szpilki do innych celów. Ostatnio jeden z takich, co tego chciał, już w windzie, rozerwał jej majtki, gdy po kolacji w mieście przyjechali do niej.

Czasami rano, gdy wychodzi do pracy, spotyka tę piękną Koreankę z mieszkania obok. Zawsze uśmiechnięta i szczęśliwa staje w rogu windy z koszem brudnych koszul swojego męża. Na parterze zostawia ją z brudnymi koszulami i gdy zamykają się za nią drzwi windy, robi się jej przeraźliwie smutno. Dopiero w porze lunchu przestaje myśleć o Koreance. Ostatnio postanowiła, że nie będzie rano *jeździć* windą.

Względność...

Fizycy zajmujący się ogólną teorią względności nazywają „to” osobliwościami. Osobliwość początku deklarują jako Wielki Wybuch, a przewidując jakiś koniec, nazywają go osobliwością Wielkiego Kresu. Nawet jeśli brzmi to poetycko, z poezją ma niewiele wspólnego. Poetyckie w tej teorii jest jedynie to, że owe osobliwości dotyczą wszechświata. A w poezji wszechświat, głównie za sprawą miłości będącej jego substytutem, jest wszechobecny. Reszta to skomplikowane równania matematyczne opisujące deformację czasoprzestrzeni. Wszystko się zaczęło od jednej deformacji. Przy następnej wszystko się skończy. Osobliwość polega głównie na tym, że w momencie Wielkiego Wybuchu czas *zaczął* płynąć, a w chwili Wielkiego Kresu przestanie. Trudno to pojąć. Jako fizyk umiem to opisać równaniami, ale wyobrazić sobie końca czasu i tak nie potrafię.

Poza tym osobliwe, przynajmniej dla mnie, jest również, że wśród uznanych twórców tej teorii nie ma żadnych kobiet (egocentryczny Einstein chorobliwie nie znośił dzielić się sławą i geniuszem, nigdy więc nie potwierdził naukowego udziału porzuconej przez siebie żony, Serbki, Milevy Marić przy tworzeniu swojej teorii). Może dlatego, że kobiety wierzą naprawdę w Wielki Kres i prawdziwy koniec czasu. Mężczyźni — nie tylko zresztą fizycy — natychmiast stworzą nowe osobliwości i nowe, przeważnie o wiele młodsze, wszechświaty. Znajdą na nie te same równania i zaczną wszystko od początku. Od nowego Wielkiego Wybuchu. Powstanie od niego nowy wszechświat. Dla kobiet z „minionego Wielkiego

Wybuchu" jest to natomiast najprawdziwsza osobliwość i cały wszechświat kończy się im naprawdę. I jest to także niesłychana deformacja. Marszczy im się wszechświat i marszczy się im wysuszana *przez* parujące łzy skóra pod oczami. Ale najbardziej je boli, kiedy „marszczy się” im dusza. Gdy już przestaną płakać i pogodzą się, że łzami i krzykiem nie da się spowodować, aby $1 + 1$ było 1 , bo Jemu wychodzi, że jest to od nowego Wielkiego Wybuchu $2 + 1$. Godzą się z tą arytmetyką. Milkną i się kurczą. Z gwiazd Supernowych stają się Karłami.

Czasami i Supernowe, i Karły mieszkają na jednym piętrze...

Czas połowicznego rozpadu

Jak długo trwa miłość?

Joelle spogląda na zegarek. Za dziesięć dziewiąta. Nalewa z otwartej przed godziną butelki szampana kolejny kieliszek. Bez dwutlenku węgla szampan wygląda jak próbka moczu nadająca się do badania przez urologa. Wyciąga rękę do półmiska z indykiem. Jest zeschnięty i zimny. A tak się starała...

Obiecał wrócić z biura o siódmej. Czternaście lat i sześć miesięcy nie są aż tak ważnym powodem, aby zjawić się punktualnie w domu. Zdaje sobie z tego doskonale sprawę. To także żaden powód, aby robić mu wyrzuty. Co mogłaby powiedzieć?! „Zapomniałeś o naszej miesięcznej rocznicy!?” Idiotyzm! O miesięcznych rocznicach nie pamiętają już przecież oboje od dziesięciu lat. A nawet ich już nie obchodzą. Kiedyś tak. W siódmą miesięczną rocznicę na przykład, w trakcie długiego weekendu na Rugii, w wąskim śpiworze na plaży. Zapaliła mu siedem świeczek wepchniętych w baton Marsa. Baton był pomiędzy jego udami. Zasnęli dopiero po wschodzie słońca. Rano obudził ich kierowca wózka, który sprzątał plażę. To były czasy. Teraz nie rezerwują nic poniżej czterech gwiazdek i on robi awanturę w recepcji, gdy nie ma w pokojowym minibarze schłodzonej mineralnej bez gazu.

„Spiegel”: Po pięciu latach małżeństwa liczba aktów seksualnych pomiędzy małżonkami zmniejsza się o 50%. Około 52% par po siedmiu latach małżeństwa współżyje nie częściej niż raz w tygodniu.

Albo wtedy, w szesnastą miesięczną rocznicę. Spacer i piknik w czasie oberwania chmury w parku, w pobliżu szpitala. Spijał krople deszczu z jej podbrzusza. A teraz? Teraz odbywają spacer tylko w niedziele. Dokładnie o piętnastej trzydzieści wychodzą z psem i łążą wokół osiedla, ale tylko wtedy, gdy w telewizji nie zapowiedzą zachmurzenia.

„Spiegel”: 52% kobiet nie wyszłoby za mąż za swojego męża po sześciu latach małżeństwa.

Albo wtedy, w dwudziestą trzecią miesięczną rocznicę. Śniadanie z szampanem w łóżku. Seks i sałatka z krabów. Te kraby aż do obrzydzenia. Cały dzień w łóżku. Przerwy tylko na pójście do łazienki lub do lodówki po następną butelkę szampana. Dzisiaj, jeśli chodzi o seks, znajdują się poniżej średniej krajowej i sałatek z krabów już także nie jedzą, odkąd przeczytali w „Spieglu”, że zawierają niebezpieczne metale ciężkie.

„Spiegel“: Po jedenastu latach małżeństwa tylko 19% par nie myślało o zdradzie.

Dziewiąta trzydzieści. Brokuły na półmisku wyglądają, jak gdyby przejechał po nich czołg. Szampan też już się skończył. Nie zdążyła nawet wrzucić do kieliszka truskawek. Zdarzało się, że je wyjmował i wkładał jej do ust, popychając swoim językiem. Także w lutym. Również te importowane z Izraela. Teraz kupują tylko niemieckie truskawki i tylko wtedy, gdy nadchodzi sezon. W lutym importowane truskawki są jak „broń chemiczna z Iraku”, tak mówi on. Tyle tylko, że smakują lepiej. Nie dyskutuje z nim, bo tak naprawdę nie przypomina sobie już smaku tych truskawek. Pamięta tylko dotyk jego języka. Chciała mu o tym ostatnio powiedzieć. Myślała, że dzisiejszy wieczór byłby dobrą okazją. Ostatnio tak mało z sobą rozmawiają...

„Spiegel“: Pary małżeńskie rozmawiają przeciętnie 9 minut w ciągu dnia. W najlepszym wypadku.

Dziewiąta czterdzieści pięć. Sięga po jego miseczkę z deserem. Maliny na kremie waniliowym z odrobiną amaretto. Tak jak on lubi. Nie żeby była ciągle ciężko w nim zakochana. To musiało się skończyć. Nie można długo żyć w neurozie albo psychozie. Tego nie wytrzyma żaden człowiek. Trudno przecież przez całe życie być pijanym. Nie aż tak. Ale zawsze dostaje rumieńców, gdy w restauracji on potrafi powiedzieć kelnerowi: „Nie, dziękuję. Moja żona nie lubi parmezanu na sałacie”. Poza tym ciągle jeszcze uważa, że seks po czternastu latach i sześciu miesiącach z własnym mężem może być tak samo dobry jak zdrada z trenerem w centrum fitness. Prawda? Prawda???!?! Czy mógłby wreszcie, do jasnej cholery, ktoś na sali wstać i głośno powiedzieć: „Tak, to się zgadza!?”.

Nie? Nikt? Naprawdę nikt...?

„Spiegel“: Około 72% Niemców wierzy w „wielką miłość”. Około 69% twierdzi w ankietach, że ją przeżyło.

Dziewiąta pięćdziesiąt. Świeca po jego stronie stołu już się wypaliła. Ta koło niej ciągle płonie. I pachnie lawendą. Co za oszustwo sprzedają teraz w tych sklepach! Wyciągnęła je przecież z tego samego pudełka i zapaliła w tym samym momencie. Nawet świece nie wypalają się jednocześnie...

„Spiegel“: W dużych miastach rozwodzi się co druga para. Większość przed upływem trzech lat małżeństwa. Jedna trzecia wniosków o rozwód składana jest przez kobiety. Dwie trzecie rozwiedzionych zawiera małżeństwa po raz drugi.

Dziewiąta pięćdziesiąt osiem. Przychodzi. Dokładnie wtedy, kiedy zaczynają się

wiadomości na drugim programie. Stawia teczkę w przedpokoju i nie zdejmując kurtki, zajmuje sofę naprzeciwko telewizora. Joelle przysiada obok.

—Powiedz mi, jak długo trwa miłość? — pyta cicho, przysuwając się do niego.

On sięga w tym momencie po pilota i dotyka przycisk, zwiększając głośność.

—Nasza miłość? Wiecznie — odpowiada, patrząc w ekran.

Potem kładzie dłonie na jej piętach i pyta:

—Kochanie, dlaczego masz takie zimne stopy?

M i ł o ś ć w c z a s a c h o d r a z y

Receptor to nic innego, tylko duża proteina na powierzchni błony komórkowej. Typowa komórka ma miliony takich receptorów, unoszących się w płynnej części błony komórkowej. Gdyby radioaktywnie oznaczyć receptory i spojrzeć na komórkę przez mikroskop elektronowy, to receptory przypominałyby białe lilie wodne, majestatycznie przesuwające się po powierzchni stawu. Pojedynczy receptor to także rodzaj dziurki od klucza, do której musi strukturalnie pasować inne białko, takie jak na przykład wirus, aby precyzyjnie się do wnętrza komórki i wywołać w nim jakąś reakcję.

Wirus AIDS przedostaje się do komórek systemu immunologicznego poprzez receptor T_4 na powierzchni limfocytów. Jeśli Stwórca umieścił T_4 na komórkach, to z pewnością nie po to, aby otworzyć drogę czemuś, co ma *zabijać*. Bóg być może jest bardzo zajęty światem, który stworzył, ale nie jest mściwy. Rozmawiałem o tym z moim muzułmańskim kolegą, który pracuje w biurze obok. On także wykluczył mściwość swojego Boga.

Jeśli są receptory T_4 , to powinien być w tym jakiś cel. Musi istnieć jakaś inna ważna proteina, która ma się przez T_4 przeciskać. Gdyby spowodować blokowanie przez nią T_4 , to wirus HIV nie miałby żadnych szans. Doktor Candance Pert w 1984 roku odkryła, że receptory T_4 znajdują się także na komórkach nerwowych — neuronach — w mózgu. Wkrótce po tym opublikowano w USA artykuł, który jest wzruszający w swojej treści: terminalnie chorzy na AIDS, których odwiedzały rodziny i przyjaciele, żyli około 30 procent dłużej niż ci umierający w osamotnieniu. Ci, których dotykano, masowano pokryte zropiałymi krostami łydki, ramiona i twarz, żyli z kolei o 45 procent dłużej niż ci, których z odrazy nie odwiedzał lub nie dotykał nikt bliski. Wspomniana Candance Pert odważyła się publicznie w 1985 roku, w trakcie Kongresu Psychoneurofarmakologii na Hawajach, zasugerować, że tą blokującą T_4 proteiną może być miłość. Nie użyła tego słowa. Mówiła o samym procesie blokowania receptora T_4 , pokazywała tabele z danymi dotyczącymi szczurów i chomików, którym robiono koktajle z mózgow, blokowano receptory T_4 radioaktywnymi neuropeptydami emocji i stwierdzono zatrzymanie namnażania się wirusa. Przedstawiała wzory strukturalne jakichś neuropeptydów, ale i tak wszyscy na sali wiedzieli, że pokazuje wzory „na miłość”.

Margot nie zna się na immunologii. Nigdy nie słyszała o receptorach T_4 . Tak naprawdę nawet nie wie, gdzie leżą Hawaje. Pracuje „na kasie” w sklepie Aldi i marzy, aby dostać kredyt na kupno samochodu. Nie musiałaby wtedy *jeździć* metrem z trzema przesiadkami — co zabiera jej około dwóch godzin — do szpitala na końcu Frankfurtu. Wyszła za mąż

za Ralfa, z miłości. Miała wtedy czterdzieści osiem lat. W tym wieku miłość w sklepie Aldi rozpoznaje się na przykład po tym, że mężczyzna długo patrzy w oczy przy płaceniu za zgrzewkę piwa. Ralf ujął ją tym, że miał stałą pracę, zawsze czyste dłonie i kupował kwiaty w jej sklepie. Płacił za nie i zostawiał jej, uśmiechając się. Wszystkie koleżanki jej zazdrościły. Któregoś wieczoru Ralf czekał na nią pod sklepem. Dwa lata po ślubie pojechali w podróż do Grecji. Nigdy nie była tak szczęśliwa. Rok później Ralf wyjechał z kolegami na dwa tygodnie do Tajlandii. Zrobiła test, gdy wzięli go do szpitala z objawami gruźlicy, i po trzech tygodniach dostała powiadomienie z kasy chorych. Pielęgniarka ze szpitala, w którym robiła test, jest córką jej koleżanki z pracy. Obiecała, że nie powie nikomu. Nawet matce. Jak na razie dotrzymała słowa. Gdyby było inaczej, jako „pozytywna” straciłaby pracę. Margot ma widocznie mało receptorów T₄ i czuje się dobrze. Każdego dnia po pracy *jeździ* do szpitala. Kiedyś było tam przedszkole. Celowo wyszukali opustoszałe pomieszczenie daleko od miasta. Aby uniknąć protestów mieszkańców. Od najbliższej stacji metra do przedszkola są dwa kilometry. Wybili w budynku ściany pomiędzy pokojami i zrobili jedną ogromną salę. Na trzydziestu łóżkach umiera dwudziestu pięciu mężczyzn, cztery kobiety i ktoś, kogo płci nie może do dzisiaj rozpoznać.

Ralf umiera najdłużej ze wszystkich. Od dwóch miesięcy jest w śpiączce. Każdego dnia odkrywa go i na wychudzone nogi, pokryte fałdami skóry i ropiejącymi wrzodami, nakłada delikatnie masę z karotenem i rumiankiem. Potem zmienia kwiaty stojące w słoiku na szafce nocnej, czesze jego włosy, siada na krześle przy łóżku, masuje mu stopy i opowiada, jak minął jej dzień.

Ralf umiera najdłużej ze wszystkich...

Z a n i k j e d n o c z e s n y

Najkrótsza droga pomiędzy biurowcem firmy, w której pracuje Anke, a ich mieszkaniem nie ma więcej niż kilometr. Idąc szybkim krokiem wzdłuż parku, potrzebowała zazwyczaj nie więcej niż piętnastu minut, aby dotrzeć do domu.

Tamtego majowego dnia, przed trzema laty, tak jak zwykle wyszła punktualnie o piętnastej. Wszyscy w firmie wiedzieli, że Anke zawsze — cokolwiek by się działo — wychodzi punktualnie o piętnastej. Na ogół omijała park, chcąc być jak najszybciej w domu. Tamtego dnia wyjątkowo poszła tamtędy. Chciała mu sprawić niespodziankę i wrócić z bukietem bzu. Dla nich maj i bzy mają szczególne znaczenie. Gdy przyszedł do rodziców prosić o jej rękę, przyniósł matce biały bez. Teraz, kiedy kupuje kalendarz na nowy rok, już w księgarni wrywa stronę z piątym miesiącem...

Poznała go na plaży w Chorwacji, gdzie spędzała wakacje z rodzicami. Przyjechał jako instruktor z klubem pływackim ze swojej uczelni w Berlinie. Przystojny, wysportowany, zawsze uśmiechnięty. To nie był nawet wakacyjny flirt. Jeden zwykły wieczorny spacer. Dwa tygodnie po powrocie zadzwonił do niej. Zapytał, czy zechciałaby się z nim spotkać wieczorem. Zgodziła się. Sądziła, że jest we Frankfurcie. Okazało się, że przyjechał na to spotkanie z Berlina. Po dziesięciu miesiącach przyniósł jej matce ten biały bez...

Dwa lata później, podczas urlopu na Słowacji, latając na lotni, spadł na skały. Wtedy przeprowadzili się do tego mieszkania przy parku. Wybrali je, ponieważ znajdowało się w pobliżu jej firmy i było przystosowane dla niepełnosprawnych na wózkach inwalidzkich. Poza tym przekonywał ją, że po rehabilitacji będzie miał ręce na tyle silne, by móc samemu wyjeżdżać do parku bez jej pomocy.

Uśpił tym jej czujność. Oszukał ją. Może źle odczytywała jego depresję i zrezygnowanie. Może zbyt mało sygnałów rejestrowała, gdy mówił o swojej bez-użyteczności i braku jakiegokolwiek sensu w budzeniu się rano. Może zbyt rzadko mu powtarzała, że zawsze i tak najbardziej kochała w nim jego głowę. I że zawsze będzie kochać, bo przecież nikt nigdy jej nie całował tak jak on. Może częściej powinna rozbierać się przed nim i podsuwać mu swoje piersi i podbrzusze do całowania.

Powinna zauważyć, że od ponad roku nie płakał i nie przeklinał Boga, lecz godzinami przesiadywał w swoim pokoju z opuszczonymi żaluzjami. Może on od dawna zapowiadał swoje postanowienie, a ona, codziennie zajęta jego pielęgnacją i rehabilitacją, nie potrafiła tego odczytać. Może...

Dzisiaj wie, że tylko po to bezustannie trenował mięśnie rąk, aby mieć siłę popełnić samobójstwo. Gdy tamtego dnia wróciła z parku, już nie żył. Nie chcąc poplamić krwią dywanu, rozłożył duży kąpielowy ręcznik i wjechał na niego wózkiem. Na stole zostawił kasetę z listem pożegnalnym.

Miał siłę przeciąć żyły żyłką, ale nie miał na tyle sprawnych rąk, żeby napisać pożegnalny list...

Obok kasety leżały równo poukładane dokumenty. Oryginał hipoteki na mieszkanie, testament, pełnomocnictwa do ich kont bankowych, akt urodzenia, polisa na życie. Nawet dzisiaj, po tylu latach, najbardziej boli ją makabryczne wspomnienie widoku tych kartek papieru na stoliku, obok jego wózka inwalidzkiego. Nie powinien był tego robić. Nie powinien odejść według jakiegoś z góry ustalonego planu. Jeśli nawet nie zasłużyła na życie z nim, to zasłużyła *przecież* na inną jego śmierć...

Dla niej jego samobójstwo było jak anihilacja. Przy anihilacji znikają zawsze dwa istnienia.

W Niemczech co czterdzieści minut jakiś człowiek sam odbiera sobie życie. Dla ludzi w przedziale wiekowym od piętnastu do trzydziestu pięciu lat „samobójstwo” to druga po wypadkach drogowych najczęściej wpisywana w akt zgonu przyczyna śmierci. W maju, gdy świat budzi się z letargu do życia, szczęście innych staje się nie do zniesienia. W tym słonecznym miesiącu popełnia samobójstwo o wiele więcej osób niż w mrocznym listopadzie. Rzadko umiera tylko jeden człowiek.

Może gdyby to nie był maj i nie kwitłyby te przeklęte bzy, zdążyłaby wrócić? Może...

D z i e ń M a t k i

Zostawia samochód na małym asfaltowym parkingu przy stacji metra i przechodzi bocznymi uliczkami pod wjazd prowadzący do ich domu. Kupuje gazetę i puszkę coca-coli w kiosku naprzeciwko wjazdu i staje za żywopłotem otaczającym mały plac przed drewnianą budką kiosku. Jest tam każdej środy około czternastej. W tym roku dziewczynki razem wracają ze szkoły właśnie w środy. Widzi je już na zakręcie przy restauracji. Odkłada wtedy gazetę, przesuwa się głębiej za żywopłot i patrzy na nie. Martusia idzie zawsze trochę z tyłu, blisko krawężnika, pochylona do przodu, aby zrównoważyć ciężar tornistra. Agnieszka przeważnie maszeruje przed nią, zatrzymując się często i zaglądając przez parkan otaczający ogród wokół willi sąsiadującej z ich domem. Stają przy bramie prowadzącej do willi. Agnieszka wyciąga z tornistra pudełko z suchym jedzeniem dla kota i małą rączką wpycha pomiędzy prętami bramy. W tym momencie są już tak blisko, że może wyraźnie dostrzec ich twarze. Czasami idą, trzymając się za ręce. Wtedy chowa się głębiej za żywopłot i nie odwraca głowy, żeby mężczyźni pijący piwo przy kiosku nie mogli zobaczyć, jak płacze. Po chwili dziewczynki znikają za zakrętem wjazdu. Zapala wtedy papierosa i wraca powoli do samochodu.

Pobrali się w Polsce. Z miłości. Oboje byli wtedy jeszcze studentami. Przyjechali jedenaście lat temu do Hamburga, po tym jak ona na strychu w domu babci w Grudziądzu znalazła jakieś "papiery" z niemieckimi pieczętkami. Pojechał wyłącznie dlatego, że ona tego chciała. Po kursie językowym okazało się, że z nich dwojga tylko ona może liczyć na uznanie lat studiów w Polsce. Zaczęła studiować, a on nauczył się tapetować mieszkania, remontować łazienki i malować ściany. Gdy urodziła się Martusia, to on nosił ją nocami, gdy miała kolkę, chodził z nią do lekarzy i to on tylko wiedział na co musi być szczepiona. Gdyby miał piersi, to by ją karmił, aby tylko nie budzić zmęczonej nauką matki. Zaczął gotować, wiedział, jakie pieluchy najlepiej wchłaniają wilgoć i jakie bajki są najlepsze dla czterolatki. Kiedy urodziła się Agnieszka, ona powiedziała mu, że na niemieckim rynku pracy liczą się tylko biolodzy z doktoratem. Uwierzył jej. Gdy przygotowywała się do egzaminów ubierał Martusię i wypychał wózek z Agnieszką na osiedlowy plac zabaw, żeby miała spokój i mogła się skupić.

Ona coraz lepiej mówiła po niemiecku, on, z poplamionymi farbą dłońmi, coraz bardziej nie pasował do ludzi, których zapraszała na swoje urodziny. W dniu, w którym pierwszy raz odprowadził Martusię do szkoły ona nie mogła iść z nimi, bo akurat odbierała dyplom doktora.

Zaczęła pracować. Odbierał Agnieszkę z przedszkola, chodził na wywiadówki do szkoły Martusi. "W okresie próbnym trzeba się wykazać" - powtarzała mu, gdy coraz później wieczorami wracała do domu. Dwa lata temu tydzień przed Wigilią wróciła w nocy z przyjęcia zorganizowanego przez jej firmę, obudziła go i powiedziała, że go nie kocha i że nie pasują do siebie. Rano spakował walizkę i przeniósł się do pustego mieszkania, które remontował. Spał na płaszczu położonym na betonowej wylewce. W Wigilię upił się i szkłem z rozbitej butelki po wódce chciał przeciąć sobie żyły. Rano, w pierwszy dzień Świąt, ciągle pijany, pojechał do ich domu i prosił, aby pozwoliła mu wrócić. Krzyczał. Przeklinał. Kopał w drzwi. Nie wpuściła go do mieszkania. Prezenty dla Martusi i Agnieszki zostawił na progu. Sąsiedzi wezwali policję. Dwa miesiące później dostał wezwanie do sądu. Ustalono, że może spotykać dzieci raz na dwa tygodnie. W soboty między siedemnastą trzydzieści a dziewiętnastą trzydzieści. Zobowiązano go również do podjęcia stałej pracy, aby mógł się "wywiązać z płacenia alimentów od czego uzależniona będzie częstotliwość spotkań z dziećmi". Nie wytrzymuje tych dwóch tygodni. Gdy się upije nie wytrzymuje nawet dwóch godzin i jedzie wtedy pod ich dom, i patrzy w okna. W następną środę jest Dzień Matki. Postanowił, że kupi dziewczynkom kwiaty. Dla ich mamy. Tak jak każdego roku...

Trzy (inne) kolory

FIOLETOWY: W nocy w Rochester, gdy zamiera ruch uliczny, słyhać wodę spadającą z pobliskiego wodospadu Niagara.

Sześćioletni chłopiec mieszkał w Rochester z rodzicami i siostrzyczką. Dziewczynka urodziła się bardzo chora. Miała trzy lata, gdy rodzice zapytali chłopca, czy oddałby dla niej „krew, bez której ona nie mogłaby dalej żyć”. Chłopiec zgodził się bez wahania. Po kilku dniach lekarze w uniwersyteckiej klinice przeprowadzili transfuzję bezpośrednią. Chłopiec leżał obok siostrzyczki i z jego żył przetaczano krew do jej żył.

W pewnym momencie, gdy transfuzja w odczuciu chłopca trwała zbyt długo, zapytał lekarza: „Czy to tak się umiera?”.

Lekarz nadzorujący transfuzję nie wiedział, co odpowiedzieć. Po chwili rozmowy wyszło na jaw, że chłopiec nie zrozumiał do końca swoich rodziców. Myślał, że musi oddać całą swoją krew i umrzeć, aby mogła żyć jego siostra.

Nie potrafię opanować lęku, gdy pytam siebie, czy ja byłbym w stanie zrobić coś takiego dla kogokolwiek. Czasami prawdziwa miłość ujawnia się dopiero wtedy, gdy nie wszystko do końca się rozumie...

ZIELONY: On był nauczycielem. Ona była jego uczennicą. Zakochali się w sobie. Na wrotkach pojechali z jego mieszkania w Harlemie, w Nowym Jorku, do USC w ratuszu Nowego Jorku, na dolnym Manhattanie. On miał wtedy dwadzieścia osiem lat, ona piętnaście. Był rok 1913. On — jedenaste dziecko czarnej matki, ona — urodzona w Rosji córka rosyjskich emigrantów. On okazał się wyjątkowo uzdolniony. Napisał *Historię filozofii*, która sprzedała się w dwudziestu milionach egzemplarzy. Nazywał się Will Durant. Jego żona miała na imię Ariel. Oboje podjęli się wielkiego zadania. Chcieli wspólnie napisać *Historię kultury ludzkości*. Od dnia ślubu nie spędzili ani jednego dnia i ani jednej nocy oddzielnie. Po pięćdziesięciu latach bycia razem potrafili rozmawiać jak na pierwszej randce. W 1977 roku otrzymali od prezydenta Forda najwyższe wyróżnienie literackie w USA. Ona wtedy powiedziała: „Wszystko, co osiągnęłam w życiu, zawdzięczam mojemu nauczycielowi, przyjacielowi i mężowi”.

On dodał: „Bóg podarował mi ją i powietrze do oddychania”.

W roku 1981 Will Durant musiał być operowany. Tygodniami leżał na oddziale intensywnej terapii. W tym czasie kilka ulic dalej, w domu, zmarła jego osiemdziesięcioletnia żona. Pielęgniarki i lekarze ukrywali to przed nim. Jedenaście

dni po śmierci żony Will Durant sam odłączył się od respiratora...

Respiratory dostarczają tylko powietrza do oddychania...

CZARNY: Ojciec tego chłopca to jeden z najbardziej wziętych chirurgów naczyńniowych w Niemczech. Jest właścicielem pięciu kamienic we Frankfurcie, prowadzi cztery gabinety lekarskie w mieście i jest tak bogaty, że regularnie lata na Mauritius grać w golfa. Ojciec nie zgadzał się z matką chłopca, po pewnym czasie przestał jej pożądać i odszedł do młodej pielęgniarki. Syn tego nie udźwignął psychicznie i postanowił nic nie jeść. Ma szesnaście lat i waży trzydzieści cztery kilogramy. Jest w śpiączce i już dwa razy lekarze wyciągali go ze śmierci klinicznej.

Matka łyka tabletki o każdej porze dnia i nocy. Nic nie kojarzy. Wie tylko, że ma być codziennie w szpitalu. Jest na tak silnych środkach psychotropowych, że nie może prowadzić samochodu. Jeździ do szpitala taksówkami, a gdy już tam jest, zasypia na krześle przy łóżku syna.

W Stuttgarcie jest klinika, w której leczą skutecznie anorektyków. Trzeba tam zawieźć dziecko na sześciomiesięczną kurację. Ojciec nie pojedzie, bo musi *zarabiać* pieniądze i nie ma z kim zostawić psa. Dla matki, w jej obecnym stanie, wyjazd do Stuttgartu to jak podróż na Antarktydę.

Ojciec kocha inną kobietę, matka ciągle kocha ojca, nienawidząc go jednocześnie za krzywdę, którą jej wyrządził. Aby przetrwać między tymi biegunami emocji, łyka psychotropy. Syn kocha ich oboje, ale tylko gdy są razem. Nie umiejąc kochać ich rozdzielonych i na dodatek, przechodząc przez okres dojrzewania, stracił sens życia.

Ludzie, którzy tracą sens życia, mają często uczucie, że są jak odpadki zaśmiecające środowisko. Wydaje im się, iż zajmują zbyt dużo miejsca. I dlatego chcą być jak najmniejsi.

N a p i ę c i e p o w i e r z c h n i o w e

Pierwszy raz zdarzyło mu się to w grudniu ubiegłego roku. Dokładnie w piątek dziewiętnastego grudnia. Nie wie jak inni, ale on tej daty nigdy nie zapomni. I to wcale nie dlatego, że tego dnia zamknął, przy owacyjnej reakcji sali, rok rozliczeniowy firmy. Najlepszy w jej historii. W tamten grudniowy dzień zamknął w ciszy wstydliwego milczenia coś znacznie ważniejszego, zamknął bezpowrotnie okres beztroskiej pewności, że coś musi się dziać, ponieważ dotychczas zawsze się działo.

Podczas przerwy w posiedzeniu rady nadzorczej zadzwonił do niej i potwierdził, że wszystko przebiega według planu i że o dwudziestej pierwszej, tak jak się umówili, będzie czekał na nią przy recepcji w Sheratonie. Należał im się ten wieczór. Przede wszystkim ona na to zasłużyła. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy wracał do domu nie wcześniej niż przed północą, rozbierał się pośpiesznie już w przedpokoju, mył zęby i wchodził do łóżka. Przytulał się do niej, pytał, czy u dzieci wszystko w porządku, i nie wysłuchawszy jej odpowiedzi do końca, natychmiast zasypiał. Rano budził się w pustym mieszkaniu, znajdował wyprasowaną czystą koszulę przewieszoną przez krzesło, foliowy worek z owocami na drugie śniadanie i przyklejoną do garnituru żółtą kartkę z napisanymi jej ręką słowami: „Nie pal dzisiaj zbyt dużo, wyjdź na spacer. Kochamy Cię”. Czasami po „Kochamy Cię”, w postscriptum dodawała: „Zadzwoń do Mamy, ma dzisiaj urodziny”, lub „Obiecałeś Ani, że pójdziesz na jej wywiadówkę, znajdziesz czas? Jeśli nie, to ja pójde”. Zbiera te kartki, jak inni zbierają listy miłosne.

Dzień przed tym zarezerwował stolik w Sheratonie, zadzwonił do matki i poprosił, żeby wzięła dzieci na tę noc do siebie. Zlecił sekretarce, aby zamówiła kwiaty i upewniła się, że będą na niego czekały w recepcji hotelu. Po zebraniu rady nadzorczej bez słowa wyszedł i wyłączył swój telefon komórkowy.

Założyła na ten wieczór czarną szyfonową sukienkę. Tę z głębokim dekoltem, w której podobała mu się najbardziej. Wypili dużo wina. W taksówce do domu zaczął ją całować. Weszła do łazienki, gdy brał prysznic. Kieliszki z szampanem postawiła na podłodze, otworzyła drzwi kabiny prysznicowej i w swojej czarnej sukience uklękła przed nim, obejmując rękami pośladki i podnosząc usta w kierunku jego podbrzusza. Jedyne, co potrafił wydobyć z siebie w tamtym momencie, to kiczowate i żałosne: „przepraszam”.

Zawsze chciał zrozumieć, dlaczego coś nie funkcjonuje. Dzisiaj, pół roku od tamtego wieczoru, wie o zaburzeniach erekcji prawie wszystko. Mógłby zrobić wykład na ten

temat. Tlenek azotu, produkowany w mózgu, pod wpływem podniecenia seksualnego dociera do komórek ciała jamistego prącia, wywołując produkcję enzymu w postaci cyklicznego gunaomonofosfatu (cGMP), który zmniejsza napięcie powierzchniowe w mięśniach gładkich oplatających naczynia krwionośne i umożliwia zwiększony napływ krwi do prącia, objawiający się erekcją. W tym czasie inny „wrogi” enzym, fosfodwuesteraza (PDE5), próbuje zneutralizować działanie erekcyjnego cGMP. Zaprzyjaźniony urolog, u którego był po radę, powiedział mu, że albo jego mózg produkuje w chwili obecnej — ma przecież czterdzieści pięć lat (+ VAT) - zbyt mało tlenu azotu, pozwalając PDE5 odnieść sukces nad cGMP, albo „spadł mu współczynnik pożądania żony”. Na to pierwsze może mu coś przepisać, ale z tym drugim musi poradzić sobie sam. Wyszedł od niego bez recepty.

Od trzech miesięcy nie pracuje w weekendy. W tygodniu wraca do domu przed osiemną. W niedziele wstaje przed wszystkimi, przynosi bułki z piekarni i przygotowuje śniadanie. W soboty rano zamykają na klucz drzwi sypialni i nie wychodzą stamtąd przed dwunastą. Dzieci już się do tego przyzwyczyły i nie pukają nawet wtedy, gdy zadzwoni telefon.

W zeszły piątek była rocznica ich ślubu. Zarezerwował stolik na wieczór w restauracji za miastem. Kupił oprawiony w skórę album i powklejał do niego wszystkie żółte kartki, jakie do niego pisała. Nocą, po kolacji, gdy wracali do domu, nagle zjechała na ciemny leśny parking przy drodze. Po dwóch godzinach, gdy wracali samochodem wypełnionym ich oddechami, zapytał:

— Czy wiesz, jak ważny dla mężczyzny jest tlenek azotu?

— Nie — odpowiedziała, odwracając zaciekawioną twarz w jego stronę. — Opowiedz mi?

Przestrzeń trójwymiarowa

To był pomysł Sylwii, aby spotkać się w Warszawie. Piętnaście lat...

Nie widziały się tak długo. Cztery lata razem w liceum w Opolu. Gdyby w ich szkole ławki były trzyosobowe, siedziałyby w jednej. Piękny czas. Pełen marzeń i beztroski. Trzy godziny w jedną stronę osobowym do Krakowa, aby przez pół godziny pospacerować po Rynku i Kazimierzu i wracać, gitary przy ognisku w górach, ze studentami w czarnych, za długich swetrach, pierwsze miłości, pierwsze noce w namiotach, pierwsze rozczarowania i pierwsze postanowienia. „Trójca Święta” z 4c. Tak nazywano je w szkole. Wcale nie były święte. To prawdopodobnie one pierwsze w Polsce odkryły, iż to nieprawda, że maturę zda się tylko wtedy, gdy się założy czerwone majtki. Umówiły się, że przyjdą bez majtek. I przy szły. I też zdały. Sylwia wyjechała do Krakowa studiować anglistykę, Agnieszka do Poznania na Akademię Ekonomiczną, a Małgosia została w Opolu na WSP.

„Dziewczyny, chcę Was spotkać przed moją menopauzą! — napisała do nich Sylwia. — I chcę Was rozpoznać bez testu na DNA! Przyjeďte! Już nigdy nie będę mieszkała tak blisko Warszawy...”

Przyjechały. Agnieszka — cztery przystanki autobusem ze Śródmieścia, Małgosię z Piły przywiózł samochodem mąż, Sylwia przyleciała z Zurychu. Spóźniła się jak zawsze. Nigdy nie była punktualna. I zawsze wchodziła tak, że każdy ją zauważał. Tylko ją kelner odprowadził do stolika i tylko na nią patrzył, pytając: „Czy u pań wszystko w porządku?”. Po dwóch godzinach nieprzerwanych „a pamiętacie, jak...” i po dwóch butelkach wina Sylwia zapytała nagle, czy są szczęśliwe...

Agnieszka: Nie jestem nieszczęśliwa. A to już bardzo dużo. Zdradzał mnie, nawet wtedy, gdy byłam w ósmym miesiącu ciąży. Teraz już wiem, że nie był mnie wart. Ale wtedy chciałam to wytatuować na rękę, bo wmawianie sobie nie działało. Sprowadził mnie do Warszawy i zostawił nas same, gdy Marysia miała trzy miesiące. Ale przetrwałyśmy bez niego. W toalecie firmy ściągałam mleko z piersi do butelki i wysyłałam taksówką do niańki w domu. Nie mogłam sobie pozwolić na utratę pracy. Przestałam wierzyć w mężczyzn, bo to obciążające. Większość z tych, których spotykam, jest mało zabawna, mają brudne buty i wiedzą mniej niż ja. Mężczyzna musi wiedzieć więcej niż ja. Musi być ode mnie mądrzejszy. To jest warunek wstępny. Nie potrzebuję, aby jakiś obcy facet kręcił mi się po kuchni wieczorem, a na hydraulika mnie stać. Nie, Sylwio! Nie kupiłam jeszcze wibratora, wariatko! Ale, słuchaj, może to dobry pomysł? Chociaż wibrator nie postawi ci

drinka, to przynajmniej nie odwróci się do ciebie tyłem i nie zacznie chrapać.

Małgosia: Szczęśliwa? Nigdy dotąd nie byłam tak szczęśliwa. Maciek jest najbrzydszym facetem, jakiego miałam w życiu, prawda, Agnieszko? Sama widziałaś. Nie kupuje mi kwiatów, nigdy dotąd nie powiedział, że mnie kocha. Ale wiem, że to dla mnie hoduje kwiaty w ogródku przed naszym domkiem w Pile. Po co komuś jakieś wyświechtane „kocham cię”, skoro facet wstaje przed tobą, robi ci śniadanie i na talerzyku układa serduszko z truskawek? No po co? Nie umie tańczyć, nie ma czasu na czytanie książek, do czarnego garnituru założyłby brązowe buty, tylko dlatego że są nowe. Ale ja już wyrosłam z marzeń o tańcu w deszczu, z różową wstążką we włosach. Może się okazać, że jest czarna. Orgazmy? W Pile kobiety też mają orgazmy, wyobraź sobie! Tak, Sylwio! Mam orgazmy. Nie spazmatyczne i nie na tylnym siedzeniu samochodu. Nie płaczę też po nich. Ale za to rano dostaję truskawki...

Sylwia: Szczęśliwa to ja jestem, jak Michael przywiezie mi nową sukienkę od Prądy lub odbierze telefon, gdy do niego dzwonię. Znam tylko trzy numery jego komórki. Ale takie czasy. Trzydzieści pięć lat to jest czas, gdy kobieta opuszcza sny mężczyzn. Ale ja się bronię. Jakby co, to przejdę na botoks. Może te panienki znają numer jego czwartej komórki, ale nie wiedzą, co powinny mu szeptać do ucha zaraz „po”. Na to potrzeba więcej nocy niż jedna. Kupiliśmy dom w Connecticut. Nic tak nie łączy ludzi, jak wspólna hipoteka. Michael obiecał mi, że gdy po roku wrócimy z Zurychu do Stanów, to popracujemy nad dzieckiem.

A pamiętacie, jak...

V i v a t a c a d e m i a

Na dworcu we Frankfurcie nad Menem, w oświetlonych błękitnym światłem toaletach z powodu przedawkowania narkotyków zmarło w tym roku (dane za okres od stycznia do lipca 2004) dwanaście kobiet i trzydziestu sześciu mężczyzn. Większość z nich, ponad dziewięćdziesiąt procent, rozstała się z życiem w dworcowej kloace po „złotym strzale” z heroiny. Pomysł policji, aby błękit lamp w toaletach utrudnił im znalezienie linii żył na przedramieniu, w ich przypadku nie zadziałał. Aby zabić tylu ludzi, wystarczy zaledwie dwadzieścia pięć gramów heroiny. Dokładnie taką dawkę heroiny zawierały kryształowe, eleganckie flakony sprzedawane bez recepty (!) we wszystkich aptekach niemieckich jeszcze w 1920 roku. Lekarze i naukowcy z podwójnymi tytułami doktora (dr dr) oraz profesorowie uznanych uniwersytetów w artykułach publikowanych w naukowych czasopismach wychwalali „niezwykłe działanie” heroiny jako „bezpiecznego środka na kaszel, wszelkiego rodzaju bóle i inne dokuczliwe dolegliwości”. Producent heroiny, powołując się na te „naukowe i niepodważalne” opinie utytułowanych mędrców, reklamował (kolorowymi fotografiami) swój „cudowny lek” w większości czasopism ukazujących się wtedy w Niemczech. Heroina jako niezastąpiony środek na kaszel. Także dla niemowlaków. *Vivat academia, vivat professores...*

Niecały rok po tym, jak 21 sierpnia 1897 roku Felix Hoffmann, chemik w firmie Bayer AG, zmieszał w probówce substancję o nazwie dwuacetylmorfina, bossowie koncernu przy poparciu (i zachwycie) naukowej elity, rezygnując z dokładnych i drogich testów klinicznych, wprowadzili na rynek nowy „rewelacyjny środek na kaszel”. Ryby, chomiki i koty od tego nie zdychały. Kaszlące dzieci pracowników koncernu w trakcie wyrywkowych testów czuły się po tym znakomicie. Producenci nazwali swoją substancję „heroiną”, zastrzegając tę nazwę w urzędzie patentowym. Heroina. Od heroicznego nowego odkrycia firmy Bayer AG z Leverkusen. Nowy „środek na kaszel” zapełnił półki aptek i był w ciągłej sprzedaży. Stosowali go uczniowie, ciężarne kobiety, policjanci, robotnicy i urzędnicy. Starzy i młodzi. Jako tabletki, jako syropy i jako czopki. Zadbano o wszystko. Dla wymagających kobiet przygotowano specjalne tampony nasączone heroiną. Wkrótce odkryto, że heroina jest dobra nie tylko na kaszel. W szpitalach psychiatrycznych we Włoszech podawano ją jako środek na wszystkie możliwe choroby: paraliż, delirium, halucynacje, epilepsję. W Polsce niektórzy medycy stosowali ją w przypadkach „chorobliwych masturbantów”. Pewien lekarz z Dusseldorfu przepisywał heroinę pacjentom cierpiącym na „bolesne erekcje”. Wkrótce odkryto, że heroina pomaga nie tylko

chorym. Członkom popularnych w Niemczech klubów alpinistycznych zalecano przed wspinaczką łykanie heroiny co miało rzekomo ułatwiać oddychanie na dużych wysokościach. Na haju można było wejść znacznie wyżej. Jeszcze pod koniec lat dwudziestych ubiegłego wieku legalną produkcję heroiny szacowano na mniej więcej dziewięć ton rocznie.

To, że ówcześni poddani cesarza Wilhelma II nie stali się „narodem ćpunów”, wynika głównie z typowego dla nich pruskiego zdyscyplinowania. Jeśli doustnie to doustnie (*przez układ pokarmowy dwuacetylomorfina bardzo powoli przedostaje się do mózgu*), jeśli napisane, że kilka miligramów, to kilka miligramów. Mało kto pomyślał, aby heroinę palić, wciągać przez błony śluzowe nosa lub po prostu wstrzykiwać sobie w żyłę. Na to wszystko wpadli szybko Amerykanie, do których heroina trafiła w ramach bardzo opłacalnego eksportu (firma Bayer AG eksportowała heroinę do dwudziestu krajów). *Zresztą*. Ameryka w tamtych czasach i tak była już „znarkotyzowana”. Niemal dziesięć procent lekarzy uzależnionych było od opiatów, setki tysięcy ludzi wstrzykiwało sobie regularnie morfinę, masowo emigrujący do Stanów Zjednoczonych Chińczycy palili opium. Około 1910 roku wielu przerzuciło się na — legalną przecież — heroinę. Nagle zapełniły się szpitale. Wprowadzono restrykcje. Pojawił się czarny rynek, a heroinę zdelegalizowano dopiero w roku 1931.

Ten sam Felix Hoffmann, dziesięć dni przed zmieszaniem w probówce heroiny, zsyntetyzował inną substancję: kwas acetylosalicylowy. Jednakże jego szefowie uznali, że jest „zbyt trująca” i początkowo wstrzymali zaopatrywanie w nią aptek. Dzisiaj „trująca” mikstura Hoffmanna jest ogólnie dostępna i jak najbardziej legalna. Jej inna nazwa to aspiryna. *Vivat academia...*

P r z e w o d n i c t w o s z k ł a

Jadwiga ma pięćdziesiąt dwa lata i szare, zawsze lekko zażawione oczy. Gdy nalewa herbatę, to za wszelką cenę stara się ukryć drżenie rąk. Nawet gdy w Houston panują największe upały, nosi bluzki z długimi rękawami, przykrywającymi wyraźne zgrubienia poprzecznych blizn na wewnętrznej stronie przedramienia, tuż nad nadgarstkiem. Mówi cichym głosem.

Pierwszego listopada nie jest żadnym świętem w Stanach Zjednoczonych. Normalny dzień jak każdy. Dla Jadwigi nie ma to i tak znaczenia. Od lat pracuje przez siedem dni w tygodniu. Od poniedziałku do piątku sprząta biurowce, a w weekendy prywatne mieszkania. Gdy Wszystkich Świętych wypada w środku tygodnia, to aby pojechać na cmentarz, musi wziąć dzień urlopu. Zakłada wówczas czarną sukienkę, idzie do fryzjera, potem do kościoła, a wieczorem jedzie taksówką na mały zaniedbany cmentarz na przedmieściach Houston. Trzy lata temu wzięła dwa dni urlopu...

W środę pojechała do Huntsville. W sali widzeń była punktualnie o dziewiętej trzydzieści. Strażnicy wprowadzili Roberta około dziesiątej. Przewieźli go na egzekucję z więzienia Livingstone. Czterdzieści minut drogi w furgonetce z małymi zakratowanymi szybami, przez które widać malowniczo wijący się brzeg jeziora.

O dziesiątej rozpoczyna się pożegnanie, o dwunastej wchodzi strażnicy i wyprowadzają więźnia, dokładnie o osiemnastej dyrektor więzienia uruchamia automat, który wstrzykuje do żył truciznę.

Do Chicago przyjechała z Polski w połowie lat siedemdziesiątych. Pewnego dnia do apteki, w której rodzina znalazła dla niej tymczasową pracę, przyszedł Michael. Potem zjawiał się już każdego dnia. Gdy okazało się, że jest w ciąży, wzięli ślub w polskim kościele. Jeszcze zanim urodziła dziecko, przenieśli się do Teksasu, gdzie Michael dostał lepszą pracę w firmie budowlanej w Houston. Ich syn Robert nie miał nawet dwóch lat, kiedy została sama. Aby utrzymać się na powierzchni, bardzo dużo pracowała. Pomagała także rodzinie w Polsce. To był dobry chłopak. Tylko zagubiony. Zauważyła to zbyt późno. Dziewięć lat temu auto, którym jechał Robert, zatrzymała policja. Przepaliła się jedna z żarówek światła stopu. Samochód był kradziony. Znalaziono przy Robertcie narkotyki w kieszeni spodni i nie miał pozwolenia na pistolet, który leżał na siedzeniu. Chłopak wpadł w panikę. Strzelił. Aresztowano go w South Park trzy godziny później. Po czterech dniach od ran postrzałowych zmarł policjant. Nie miała pieniędzy na adwokatów.

Odwiedzała go w Livingstone tak często, jak pozwalały na to przepisy. Co kilka tygodni przez osiem lat. Siadali naprzeciwko siebie. Po obu stronach grubej szyby wykonanej z

kuloodpornego szkła.

Przez osiem lat jedynymi ludźmi, którzy dotykali Roberta, byli strażnicy. Przez osiem lat nikt go nie objął, nie położył dłoni na jego ramieniu i nie uścisnął jego ręki.

Gdy jednak przycisnie się z całej siły otwartą dłoń do szyby, w szkle powstaje ciepło. Dłoń ułożona w pewien określony sposób pozostawi na szybie odcisk. Wiedziała, że Robert czuł to ciepło po drugiej stronie i widział to odcisnięte serce. Pisał do niej o tym w listach. Czasami wrywał sobie rzesę i gdy strażnicy byli nieuważni, odnajdywała ją pomiędzy kartkami listu.

Szkło szyby w sali widzeń w Huntsville jest o wiele grubsze, ale i tak niemal namacalnie odbierała jego dotyk, gdy Robert odłożył słuchawkę telefonu i na pożegnanie przycisnął do szyby obie dłonie. Czasami, gdy muska palcami szybkę w ramce z fotografią Roberta, odnosi podobne wrażenie. Także jeszcze dzisiaj...

Wieczorem była przy egzekucji. Nawet gdyby mogła o tym mówić, niewiele miałaby do powiedzenia. Ma dziurę w pamięci. Następnego dnia rano oficjalnie przekazano jej ciało syna. To było pierwszego listopada. Termin egzekucji Roberta został ustalony na kilka miesięcy wcześniej. Miała czas, aby wybrać cmentarz i załatwić wszystkie formalności. Ponieważ pracuje w jednej firmie już ponad pięć lat, otrzymała niskoprocentowaną pożyczkę. Starczyła także na nagrobek. W marmurowej tablicy obok wygrawerowanych liter *kazala* wybić prostokątny otwór i wbudować w niego płytę z grubego szkła...

C h e m i a o p ł a t k a

Wigilijne późne popołudnie kilka lat temu. Brama szpitala św. Elżbiety we Frankfurcie nad Menem wychodzi bezpośrednio na ulicę. Naprzeciwko niej, po drugiej stronie ruchliwej jezdni, znajduje się mała włoska restauracja. Zimą, tuż przed świętami, właściciel wystawił choinkę na mały kamienny taras przed restauracją. Owinięta zwojami kolorowych żarówek, przystrojona błyszczącymi świecidełkami, posypana sztucznym śniegiem, rozbłyskuje zwielokrotnionym światłem odbitym w szybach pobliskich kamienic i szpitala.

Wigilijne późne popołudnie, kilka lat temu. Powoli zapada zmrok. Wielkie miasto milknie i pustoszeje w ciszy. Zaczyna się coś bardzo uroczystego...

Nagle z bramy szpitala wybiega mała dziewczynka. Kurtka narzucona na piżamę, zimowe buty na bosych stopach. Pędzi w kierunku choinki. Zatrzymuję samochód. Na chodniku przed bramą pojawia się starszy *mężczyzna* w granatowym mundurze i nerwowo gestykulując, krzyczy coś w stronę małej. Po chwili wbiega na środek jezdni i w panicznym odruchu stara się *zatrzymać* i tak zamarły już ruch. Gdy strażnik jest przy dziecku, pod choinką, auta ponownie ruszają. Ludzie spieszą do swoich domów, do swoich choinek. Jak najszybciej. Czy to, co ślepo gnało tę dziewczynkę, można wyjaśnić inaczej niż tylko rozpaczliwą tęsknotą za wyjątkowością przeżyć, jakie zapamiętała ze swoich wcześniejszych wigilii? Czy „wydarzenie Wigilia” oprócz tego mistycznego wzruszenia ma także własny wymiar? Na przykład swój encefalogram i swoją własną chemię mózgu? Okazuje się, że ma...

Oczekiwanie (adwent): mechanizm oczekiwania aktywizuje płat czołowy mózgu. U osób, które słuchają kapiących kropli z nieszczelnego kranu, podobnie jak u osób, które czekają na wigilię, stwierdzono podwyższony przepływ impulsów elektrycznych w tym obszarze mózgu. Nagłe zatrzymanie kaptania wielokrotnie je wzmacnia, powodując między innymi uczucie niepokoju. Towarzyszy temu spadek poziomu stężenia hormonu serotoniny, kojarzonego z dobrym nastrojem i harmonią. Odebrać nam oczekiwanie na święta, to tak jak zakręcić ten kran. Z naszego kranu jednakże kapie — od początku grudnia, jak każdego roku. Choinki znowu ozdabiają ulice, pojawia się ta sama co zawsze świąteczna muzyka w radiu, ten sam co zawsze hormon stresu (kortyzol) wygania nas do sklepów, aby kupować prezenty dla najbliższych. Na kilka dni przed Wigilią spowiadamy się w konfesjonale lub przed samymi sobą i rozgrzeszeni przez księdza lub przez własne sumienie podwyższamy sobie w ten sposób poziom endorfin (opiaty z grupy morfin), które koją w nas ból, wyciszają, napełniają spokojem, wyzwalają nadzieję. Tak

naprawdę przyrzekamy poprawę po spowiedzi, będąc w stanie swoistego narkotycznego odurzenia. Może dlatego, gdy rausz mija, tak szybko zapominamy o tych obietnicach...

Wigilia (czuwanie): kilka godzin dostojnej bliskości, poczucie bezpieczeństwa, kulminacja wzruszenia przy dzieleniu się opłatkiem, prezenty, uniesienie przy śpiewaniu kolęd. Większość z nas śpiewa tylko raz w roku. Właśnie kolędy i właśnie w czasie wigilii. Muzyka i śpiew inicjują produkcję hormonu szczęścia (dopaminy), uaktywniając w mózgu tak zwaną ścieżkę nagrody, kilka miliardów neuronów w środkowej jego części. Ten sam obszar jest aktywny, gdy zaspokajamy głód, gasimy pragnienie lub uprawiamy seks. Prezenty? W normalnej sytuacji wyraźnie rozgraniczamy pomiędzy „moje” i „twoje”. Dba o to znowu hormon stresu: kortyzol, którego właściwie nie produkujemy, gdy jesteśmy „na wigilijnej dopaminie”. Wigilia to głównie emocje, na których przede wszystkim jesteśmy skupieni. Są dla nas najważniejsze. Może dlatego — okazuje się, że nie ma w tym paradoksu — mało kto modli się podczas wigilii.

Kiedyś porównano aktywność mózgu u osób wierzących, które odczytywały modlitwy i teksty niereligijne. Stwierdzono bez żadnych wątpliwości, że przy odczytywaniu modlitw aktywność mózgu wyraźnie wzrosła. Jednakże tylko w tym obszarze, który kojarzony jest z racjonalnym myśleniem, a nie z uczuciami. Religia jest bardziej sprawą rozsądku niż emocji. Także podczas wigilii.

Gdy czytam podobne raporty „neuroteologów”, przypominam sobie tę małą dziewczynkę szaleńczo biegnącą przez ulicę w kierunku choinki i cieszę się, że człowieka tak naprawdę może opisać poeta, a nie laborant...

Zerowanie licznika

„Chciałabym jutro zacząć nie tylko nowy rok, chciałabym zacząć nowe życie. Z tobą. Niedługo tak będzie. Poczekasz?” Te słowa usłyszał dokładnie pięć lat temu. Około osiemnastej trzydzieści w sylwestrowy wieczór. Wyszeptała mu je do ucha, gdy leżeli nadzy, przytuleni do siebie w łóżku w jego sypialni. Miał wtedy trzydzieści dwa lata, bardzo chciał na nią czekać, a słowo „niedługo” ciągle jeszcze oznaczało dla niego kilka miesięcy. Pamięta, że zdjął wtedy jej dłoń ze swojej piersi i zaczął całować w rozczuleniu. W tym momencie zadzwonił telefon komórkowy. Wstała, ubrała się i pojechała na Krakowskie Przedmieście odebrać męża z restauracji, w której żegnał rok z radą nadzorcą swojej firmy...

On od pięciu lat wita nowy rok według tego samego schematu. Rano z biura dzwoni do matki, do Poznania, składa jej życzenia i kłamie, że spędzi sylwestra z przyjaciółmi. Zawsze ma przygotowane jedno żeńskie imię, tak aby bez drżenia w głosie odpowiedzieć matce na pytanie: „A z kim idziesz?”, i uprzedzając kolejne, dodaje: „To nowa koleżanka z pracy i nie jest mężatką”.

Od dwóch lat, kiedy to matka od północy do czwartej nad ranem wydzwaniwała do wszystkich jego przyjaciółek, wyszukuje w książce telefonicznej nazwy restauracji lub klubów w Warszawie i upewnia się, że tam „nie ma zasięgu GSM”. Około piętnastej wraca do domu, nakrywa uroczyście stół, bierze kąpiel, zmienia pościel i zakłada błękitną koszulę. Otwiera butelkę czerwonego wina, wyłącza telefon i czeka. I gdy ona przyjeżdża kilka minut po siedemnastej, jest już „odpowiednio” znieczulony alkoholem. Ona, wchodząc, całuje go i podaje butelkę szampana. Potem siadają naprzeciwko siebie przy stole. Milczą. To znaczy, ona opowiada zupełnie nieistotne rzeczy, a on powstrzymuje wzbierającą agresję. Przed osiemnastą ona wstaje i przynosi z kuchni szampana. Dokładnie o osiemnastej składają sobie życzenia noworoczne. „Zmiana daty o północy — tak mu powiedziała — to tylko umowa fizyków i astronomów”. Obejmuje go, tuli, wypowiada co roku te same życzenia, mówi coś o nowym początku i dziękuje za to, „że czeka”. Gdy on chce coś powiedzieć, pocałunkami zamyka mu usta. Tak jak gdyby nie chciała usłyszeć jego życzeń. On zsuwa z niej sukienkę, rozpina stanik i zanoszą ją do sypialni. W łóżku bardzo uważa, żeby nie potargać jej elegancko i odświeżnie upiętych włosów. Ona potem wstaje, ubiera się, jedzie na dziewiętnastą pod restaurację na Krakowskim Przedmieściu i o północy, ustalonej przez innych fizyków i astronomów, składa życzenia noworoczne innemu mężczyźnie, swojemu mężowi. On tymczasem o tej

„innej północy" wypija resztki szampana z butelki, którą znajduje przy łóżku w sypialni, walczą ze sobą, aby nie zadzwonić do niej, pisze kolejnego SMS-a, którego nie wysyła, i zaczyna — jak co roku, około drugiej w nocy — sporządzać listę noworocznych postanowień.

Za oknami dogasają ostatnie fajerwerki, matka przestała już wydzwaniać, sąsiedzi za ścianą są już tylko szmerem. Nowy rok. Czas obietnic i wiary, że rano wszystko *zacznie* się od nowa w lepszy i szczęśliwszy sposób.

Wystarczy ulec magii początku ustalonego przez fizyków i astronomów, wyzerować licznik i sporządzić listę ślubów i przyrzeczeń, których i tak nie dochowamy. Pierwszego papierosa zapalimy już po noworocznym obiedzie, w połowie stycznia przestaniemy wierzyć, że do końca roku będziemy biegle mówić po angielsku, odchudzanie odłożymy na „lepszy czas" urlopu latem. Do tej pory i tak wszyscy o tym zapomną. Jednakże w tę wyjątkową noworoczną noc ciągle nam się wydaje, że zaczyna się nie tylko nowy rok, ale że zaczyna się wszystko. Zrobimy sobie tej nocy psychiczny remanent, wypowiedzimy się przed sobą, rozgrzeszymy i obiecujemy, że będziemy od rana lepsi. Głównie dla siebie samych.

On *także* w to wierzy. Tak samo jak w jej noworoczne „niedługo" pięć lat temu. Z szuflady szafki nocnej wyciąga pomięty brulion i zapisuje swoje postanowienia. „Zapomnieć o niej!" Dziesięć razy. Dla pewności. Jak w dekalogu. Przerzuca kartki zeszytu, cofając się do przyrzeczeń z ubiegłego roku. „Zapomnieć o niej" — bez wykrzyknika i tylko pięć razy...

Funkcja rozkładu cierpienia

Marcin nie lubi, jak zniemcza się jego imię na Martin. Ma siedemnaście lat, mieszka z rodzicami na dziewiątym piętrze w bloku w Russelsheim, najbardziej robotniczym z robotniczych miasteczek w okolicy Frankfurtu. Wstaje o szóstej rano, aby zdążyć na lekcje w gimnazjum w innej miejscowości w pobliżu Frankfurtu, w której nie ma, nigdy nie było i nigdy nie będzie żadnych bloków. Jego ojciec, gdy nie pracuje akurat na drugiej zmianie lub nie wybiera się na trzecią „na taśmę” w fabryce Opla, jeździ na wywiadówki syna, zakładając na tę okazję najlepszy garnitur. Marcin „od zawsze” jest najlepszym uczniem w klasie i gdy ojciec wraca z wywiadówek, to przychodzi do pokoju syna, siada na wersalce, patrzy na niego i nic nie mówi. Marcin wie, że w tym momencie ojciec jest z niego dumny i dokładnie wie, co ojciec chciałby mu powiedzieć, tylko tego nie potrafi. Ojciec posiedzi chwilę, wstanie nagle, przytuli go mocno do siebie, wróci do kuchni i wyciągnie trzy piwa z lodówki. Dwie butelki postawi przed sobą, a z jednej naleje ostrożnie do szklanki i poda Ani, matce Marcina.

Któregoś razu, po wywiadówce, Ania powiedziała mężowi, że byłoby dobrze, aby pojechali na jakiś „prawdziwy urlop”. Ona wprawdzie bardzo się cieszy, że on — Niemiec — także lubi Hel, ale ze względu na dzieci „byłoby dobrze, gdyby raz inaczej”. Wie, że to jest bardzo drogie, ale u Marcinka w szkole wszyscy po wakacjach takie rzeczy opowiadają... Przerwał jej. Nie znośił słuchać historii o tym, co opowiadają koledzy w szkole Marcina.

Ona wzięła dodatkowe dyżury w szpitalu, on przez cały rok brał wszystkie możliwe nocne zmiany. Dwudziestego grudnia wsiedli do samolotu we Frankfurcie i polecili na wyspę Phuket w Tajlandii. Gdyby kiedyś zapytano Anię, jak wyobraża sobie raj, odpowiedziałaby, że dokładnie tak jak na tarasie przed ich bungalowem, na wzgórzu schodzącym łagodnie do oceanu, w Khao Lak.

W pierwszy dzień przez cały czas robiła zdjęcia i pisała kartki do Polski. W Wigilię wieczorem poszli na plażę i spacerując brzegiem morza, czekali na pierwszą gwiazdę. Marcin trzymał siostrę za rękę, raz po raz wbiegając z nią do wody. W restauracji podczas wigilii przełamali się opłatkiem. Gdy potem wrócili do pokoju, Justynka odtańczyła taniec radości, znajdując prezenty obok małej sztucznej choinki, którą w czasie porannego sprzątanía obsługa hotelu wstawiła do każdego apartamentu. Najbardziej cieszyła się z lalki, którą dostała od Marcina...

Gdy urodziła się Justynka, Marcin miał trzynaście lat. Przez trzynaście lat był

jedynakiem. Rodzice obawiali się, szczególnie Ania, że dojrzewający chłopiec nie pogodzi się z nagłym wtargnięciem do swojego świata kogoś, kto zepchnie go na drugi plan. Mylili się. Marcin od początku uwielbiał „swoją księżniczkę”, a ona nie zasnęła, zanim brat nie pocałował jej na dobranoc. W przedszkolu wiedzieli, że Justynkę odbiera tylko Marcin...

Rano, w drugi dzień świąt, około dziesiątej trzydzieści, Ania, ciągle w szlafroku, piła poranną kawę na tarasie, patrząc, jak jej dzieci stromymi schodami schodzą do hotelowego basenu. W pewnym momencie zatrzymały się i po krótkiej rozmowie Marcin zawrócił, biegnąc na górę. Najpierw usłyszała dźwięk otwieranych drzwi, a potem zdyszany głos syna:

— Justysia zapomniała lalki, nie wiesz przypadkiem, gdzie ona...

Reszty, zagłuszonej niewyobrażalnym hukiem, już nie dosłyszała. Podbiegła do balustrady tarasu. Justynka powoli schodziła niżej...

Trzy dni później zidentyfikowali jej zwłoki spośród setek innych, złożonych w buddyjskiej świątyni w Khao Lak, przerobionej na tymczasową kostnicę. Wrócili do domu tydzień temu. Marcin od pogrzebu siostry właściwie nie wychodzi ze swojego pokoju. Gdy dzwoni telefon lub gdy słyszy dzwonek u drzwi, przekręca klucz w zamku, zakłada słuchawki na uszy i słucha Nirvany.

Wszystkim się wydaje, że Justynka osierociła jedynie jego rodziców i że to tylko ich trzeba pocieszać, z nimi płakać i z nimi milczeć, trzymając ich za ręce. A on przecież nie potrafi być jedynakiem. Wieczorami, gdy upewni się, że rodzice są w sypialni, wchodzi do pokoju Justynki, siada na łóżku, kładzie rękę na jej poduszce i płacze. Wtedy najbardziej żałuje, że wrócił po tę cholerną lalkę...

E f e k t o p ó ź n i e n i a

Matce skłamała, że leci do Barcelony „robić materiał” do reportażu. W redakcji ogłosiła, że wyjątkowo przez ten weekend nie będzie do dyspozycji. Dla nikogo. Nie pozwoliła, aby mąż odwiózł ją na lotnisko. Wstała, mimo że samolot do Mediolanu odlatywał dopiero o czternastej, wcześniej rano i taksówką pojechała na Okęcie. Usiadła na ławce w holu lotniska, *wyłączyła* telefon komórkowy i czekała. Chciała być sama. Zawsze, gdy działo się w jej życiu coś bardzo ważnego, potrzebowała samotności i ciszy. Jedyne w samotności mogła czymś naprawdę się cieszyć, coś prawdziwie opłakiwać lub czegoś się bez wstydu bać. Podobnie *zresztą* jak jej matka. Gdy odszedł od nich ojciec, matka pogрузzyła się w takiej właśnie uroczystej samotności. Trwa w niej nieustannie do dzisiaj, chociaż ojciec zostawił je trzydzieści dwa lata temu. Podczas jej pierwszego przyjęcia urodzinowego już go nie było. Nikt tak naprawdę nie wie, co widzą i jakie obrazy rejestrują w pamięci niemowlęta. Ona z pewnością może powiedzieć, że nigdy w swoim życiu nie widziała ojca. Nawet na fotografii. Matka zniszczyła wszystko, co mogło go przypominać. Albumy ze zdjęciami, jego listy, jego książki. Wszystko, co można było „najpierw rozerwać na najdrobniejsze strzępy, a potem spalić, także płatki wszystkich zasuszonych róż, które dostała od niego”. Takim zdaniem opisał to jej dziadek. Matka — to było kuriozalne, bo przecież odszedł on — starała się wyemigrować na stałe ze świata, który stworzyła z jej ojcem. Przeniosła się do Warszawy, zmieniła pracę, zerwała kontakty ze wszystkimi, którzy go znali, wróciła do swojego panieńskiego nazwiska i „spaliła wszystko, co się dało. Mimo to skończyła jak emigrant, który w obcym świecie nie tylko nie dostał nic nowego, ale też stracił wszystko. Wszystko, oprócz akcentu...”

Któregoś dnia jakiś uprzejmy donosiciel, jakich pełno w miasteczku śmierdzącym zaduchem zaściankowych umysłów, poinformował ją: „Twojego tatusia artystę to pogoniła twoja wredna mamusia”. Miała wtedy jedenaście lat i z zawiścią patrzyła na koleżanki, które na spacerzy chodzą z ojcami, trzymając ich za rękę. Spacerzy z dziadkiem nie były tym samym. Wieczorem, gdy mama przyszła do jej pokoju pocałować ją na dobranoc, odważyła się i zapytała o ojca. Nigdy nie zapomni jej zagryzionych do krwi warg, przerażonych oczu i drżących rąk.

Po dwóch tygodniach od tego wydarzenia pod ich dom podjechała wielka ciężarówka i przeniosły się do Warszawy. Przez długi czas nie odczuwała braku ojca. Może tylko czasami. Jak na przykład wtedy, gdy w ich małym mieszkaniu na Saskiej Kępie za ścianą chrobotał szcur, a one z matką przeraźliwie się bały. Pomyślała, że gdyby miała tatę, to on

by je przecież obronił i zabił tego szczura. Potem mama zadbała, żeby wytruto szczury i przez wiele lat ojciec nie był już jej do niczego potrzebny. Gdy czasami przypominała sobie o nim i robiło się jej smutno, pisała do niego listy. Takie, których się nigdy nie wysyła. Podczas ostatniej wigilii postanowiła, że odszuka mężczyznę, dla którego jej matka od trzydziestu lat stawia zawsze dwa dodatkowe nakrycia na stole, przygotowuje sałatkę śledziową, którą później nienaruszoną wyrzuca do kosza, i kładzie pod choinkę prezent, którego nikt nigdy nie odpakowuje.

Trzy miesiące temu, w tajemnicy przed wszystkimi, wróciła do miasteczka, w którym się urodziła i odszukała rodziców ojca. Mieszka w Mediolanie, ma dwóch dorosłych synów, pracuje w agencji fotograficznej. Tydzień temu znalazła tę agencję. Wróciła z redakcji do domu, wypłała pół butelki wina i zadzwoniła. Na lotnisku w Mediolanie siedziała naprzeciwko niego i słuchając w milczeniu, wpatrywała się w jego twarz. Unikał jej wzroku. Gdy się uśmiechał, stawał się podobny do jej synka. Gdy poważniał, zagryzał wargi dokładnie tak jak ona. Kochał jej matkę. Tylko inaczej, niż ona tego pragnęła. Poza tym nie chciał skończyć w zakładzie fotograficznym, w którym robi się zdjęcia do paszportu lub fotografuje pierwsze komunie. Chciał być ojcem, z którego ona, gdy dorosnie, mogłaby być dumna. Dlatego wyjechał. Dzisiaj wie, że dzieci nie mogą być dumne z ojców, których nie ma.

Gdy żegnali się przed jej powrotem do Warszawy, podała mu związany czerwoną wstążką plik kopert z listami do niego, tymi, których się nigdy nie wysyła, i powiedziała:

— Nie mam do pana żalu.

Zakłócenie teorii

Gdy matka przywiozła ją taksówką do szpitala, najpierw położyli ją na ortopedii. Akurat tam były wolne łóżka i nie musiała leżeć na korytarzu. Po trzech dniach przenieśli ją na urologię. Lekarz uznał, że w jej wypadku „dominującym schorzeniem” jest niewydolność nerek i „hospitalizacja na ortopedii” z powodu złamanego nadgarstka „to jakaś kolejna kosmiczna pomyłka tych ignorantów na izbie przyjęć”. Nie chciała zostać ani na urologii, ani gdzie indziej. Pragnęła, aby matka zabrała ją stąd do domu. Wiedziała, że na urologii znowu będzie musiała kłamać. Na ortopedii wersja z wypadkiem samochodowym już się przyjęła i nikt nie zadawał jej żadnych zbędnych pytań.

Gdy leżała na urologii, pojawiła się przysłana z opieki społecznej psycholog. Miała około pięćdziesięciu lat, była bardzo gruba, pachniała drogimi perfumami i mówiła donośnym głosem. Usiadła w nogach jej łóżka, wyciągnęła ze skórzanej torby komputer i zaczęła pytać o rzeczy, o których ona próbowała zapomnieć. Wyszły na korytarz. Chciała to komuś opowiedzieć. Całą prawdę. Ale nie przy ludziach. Bo to wstyd...

Zaczął ją bić osiem miesięcy po ślubie. Odkąd stracił pracę, często pił. Wystarczyło, że spokojnie zapytała, skąd wraca tak późno, aby sprowokować jego złość. Kiedy przestała pytać, wściekał się jeszcze bardziej. I bił. Po pewnym czasie, gdy wracał w nocy, zamykała się w łazience. Wreszcie, po tym jak wyłamał drzwi i zaczął ją dusić węzem od prysznicza, uciekła do swoich rodziców. Ojciec udawał, że nie widzi jej sinych plam na twarzy i szyi. Matka przekonywała, że „tak bywa w małżeństwach, że mu to minie i że to przez tę pracę”. Potem, gdy uciekała, nie szła już do rodziców, tylko biegła na dworzec. Siedziała do rana w poczekalni. W ich miasteczku na dworcu przesiadują różni ludzie. Nawet ci, którzy nigdy nigdzie nie wyjeżdżają. I nikt nikogo o nic nie pyta.

Zawsze jednak wracała. Bo niby gdzie miała odejść? Do rodziców?! Matka uważa, że miejsce żony jest przy mężu, a poza tym „nie ona jedna”. Ojca nigdy nie obchodziła. To trwa trzy lata. To bicie. A po tym, jak zachorował jego brat, mąż stał się jeszcze bardziej agresywny. Bo tak naprawdę on jest wrażliwy i kiedy nie pije, jest dobrym człowiekiem. Z porządnej katolickiej rodziny. Gdy wyrządził jej krzywdę, to na drugi dzień potrafił zrobić śniadanie i nawet kwiaty kupić...

Psycholog przerwała jej. Nie chciała tego słuchać. Popatrzyła na nią z politowaniem. Cały czas pisała coś w swoim komputerze. Zapytała, co stało się ostatnio i dlaczego jest w szpitalu.

Wrócił do domu nad ranem. Nie znalazł piwa w lodówce. Zaczął krzyczeć, a ona

uciekła w koszuli nocnej. Dopadł ją na trawniku przed blokiem. Skopał. Odbił nerki. Uszkodził śledzionę. Złamał nadgarstek. Jakiś sąsiad zauważył, co się dzieje, i zadzwonił po jej matkę. Na ich osiedlu nigdy w takich sprawach nie dzwoni się po policję. Nienawidzi go i chce od niego odejść. Tylko nie wie jak i tak naprawdę nie ma dokąd...

Na drugi dzień psycholog przyszła do szpitala z jej matką i adwokatem. Opowiadała o jakimś „zespolu wyuczonej bezradności” i o tym, że powinna go ukarać, uwolnić się od niego, „skończyć raz na zawsze z poniżaniem” i zacząć „nowe życie”. Adwokat coś notował. Dostała jakiś papier do podpisania. Ustalili, że ze szpitala wróci do rodziców i złoży w sądzie sprawę o znęcanie się nad nią. Wróciła...

Od roku mieszka u nich. To wcale nie jest „nowe życie”. Czasami nawet gorsze niż to jej stare, chociaż nikt tu nie bije. Ojciec patrzy na nią, jakby była trędowata.

Od tego czasu odbyły się cztery rozprawy. Mąż dwa razy nie stawiał się w sądzie. Na trzeciej rozprawie siedzieli w pustej sali naprzeciwko siebie. Czasami spoglądała na niego. Był wychudzony i obgryzał paznokcie. Gdy ją bił i na drugi dzień błagał o przebaczenie, także obgryzał paznokcie. Poproszono ją, aby złożyła zeznania. Miała opowiedzieć, na czym polegało „znęcanie się nad nią i jakie ma na to dowody”. Podeszła do drewnianego pulpitu na środku sali i zaczęła płakać. Sąd odroczył postępowanie o miesiąc.

W trakcie ostatniej rozprawy nie było go na sali. Jego adwokat wniósł o umorzenie sprawy w trybie specjalnym. Oskarżony zmarł. Przyczyną śmierci były powikłania podczas operacji pobrania nerki do przeszczepu dla chorego brata.

I n t e r f e r e n c j e p y c h y

Według Księgi Rodzaju Bóg wygnał Adama i Ewę z ogrodu edeńskiego, aby nie zerwali przypadkiem owocu z „drzewa poznania dobra i zła” i nie żyli na wieki. Pierwsi rodzice zapragnęli stać się wielkimi według własnych planów, według swojej miary i woli dorównać Bogu. Swoim nieposłuszeństwem wyrazili przekonanie, że lepiej od Stwórcy wiedzą, co jest dla nich korzystne lub nie, co prowadzi do szczęścia, a co od niego oddala; co naprawdę jest dobre, a co złe. Adam i Ewa popełnili grzech pierworodny: grzech pychy. To nie przypadek, że pierwsza na liście siedmiu grzechów głównych jest pycha. Wszystkie pozostałe, gdy głębiej i uważniej zastanowić się nad ich genezą, są tak naprawdę jedynie pochodnymi tego pierwszego. Nieposkromione pragnienie wielkości i doskonałości „według własnych planów” jest nieodłącznym atrybutem pychy. Podobnie jak przekonanie, że się wie lub potrafi zrobić coś o wiele lepiej od innych. Czasami jednak pycha urastała do granic bohaterstwa...

Alma Rose była od kołyski przygotowywana do tego, że w przyszłości będzie kimś wielkim. Urodzona w żydowskiej rodzinie w Wiedniu, od dzieciństwa miała kontakt z największymi sławami. Gościem w domu jej ojca, profesora muzyki w Akademii Wiedeńskiej, był między innymi Strauss. Jako czternastolatka, Alma miała pierwszy publiczny koncert skrzypcowy, a kilka lat później stała się jedną z najbardziej znanych i cenionych skrzypaczek w przedwojennej Europie. Gdy zaczęły się deportacje Żydów z Holandii, dokąd Alma wyemigrowała z faszystowskiej Austrii, uciekła do Francji. Aresztowana przez gestapo w okolicach Paryża w lipcu 1943, trafiła do Bloku 10 w kobiecej części obozu Auschwitz-Bir-kenau. Kiedy nadzorczyńni, Maria Mandel, proponuje jej prowadzenie „Kobiecej orkiestry” w obozie, zgadza się. Wie, że ma szansę uratować nie tylko siebie, ale także dziesięć innych kobiet grających w orkiestrze.

Nawet w Oświęcimiu czuje się gwiazdą i robi wszystko, aby nią pozostać. Jej pycha zwycięża. Komendant obozu kobiecego Franz Hossler publicznie nazywa ją — Żydówkę (numer obozowy 50381) — „panią Alną”. Ona nie musi golić głowy do gołej skóry, pozwala jej nosić długie włosy. Rozkazuje dostarczać jej zagrabione z transportu więźniów najlepsze instrumenty i nuty oraz zezwala więźniarkom grającym w jej orkiestrze na „codzienną rację mleka, kąpiel raz w tygodniu i nieograniczony dostęp do latryny”.

Nawet w pobliżu krematoriów Rose nie przestaje być „światowej sławy skrzypaczką”. Jest wyniosła i znając swoją władzę w świecie Bloku 10, konsekwentnie nie toleruje

żadnych niedociągnięć. Nocami bezustannie ćwiczy koncerty, często, aby nie zakłócać snu innych więźniów, gra na mrozie przed obozowym blokiem. Jednocześnie, gdy któraś z kobiet w orkiestrze nie spełnia oczekiwań, Rose wyznacza jej dotkliwe kary.

W słoneczne niedzielne poranki grają Bacha, walce i tanga dla esesmanów i ich rodzin. Ale grają również — dla uspokojenia — radosne niemieckie szlagiery, kiedy na rampę kolejową w pobliże komór gazowych przybywają nowe transporty więźniów z całej Europy. Także wtedy, gdy przeprowadzający na rampie selekcję Arbeitsfuhrer Moll rozdawał dzieciom słodycze, rozmawiał uśmiechnięty z ich matkami, które miały iść prosto do gazu, przytulał je, przekonując, żeby bez obaw oddały mu swoje dzieci. Przy taktach radosnej pieśni wędrowniej *Łyżwiarze* Waldenfelda (według relacji Saul Chasan, numer obozowy: 182527) Moll potrafił zabrać matce dziecko, zanieść na rękach w pobliże płonącego dołu i wrzucić żywe do ognia...

Orkiestra przestaje grać, gdy 4 kwietnia 1944 roku nagle umiera Alma Rose. Jej śmierć to także swoisty dowód pychy. W obozie, w którym zeschnięta kromka chleba lub miska przezroczystej zupy z buraków decyduje o życiu lub śmierci, ktoś umiera syty, ale zatruty... alkoholem. „Napiłam się wódki” —wyznaje Rose przed śmiercią (według relacji więźniarki Margity Schwalbovej). W Auschwitz-Birkenau najczęściej dostępnym alkoholem był, celowo rozprowadzany przez strażników, trujący metanol.

Alma Rose pozostaje „wielką skrzypaczką” nawet po śmierci. Arbeitsfuhrer Moll pozwala orkiestrze pożegnać swoją dyrygentkę. Ciało Almy leżało na zsuniętych taboretach, przykryte białym prześcieradłem, przed blokiem szpitalnym (według relacji Zofii Cymkowiak, numer obozowy: 444327). Ktoś położył na całunie kilka gałązek ziela. Coś tak normalnego jak namiastka „pogrzebu” było w obozie koncentracyjnym zupełnie niespotykanym i graniczącym z absurdem wydarzeniem.

W obliczu nieskończonego zła granica absurdu całkowicie się zaciera, a niespotykane wydaje się od pewnego momentu wszystko. Tak jak na przykład to, co wydarzyło się pewnego wieczoru, w grudniu 1943 roku, podczas specjalnego wigilijnego koncertu Almy dla esesmanów na terenie męskiej części obozu. Tego wieczoru rabini zebrali się w największej konspiracji, aby przeprowadzić sąd nad Bogiem. Wytoczyli mu prawdziwy proces. Z oskarżycielem, ławą przysięgłych i obrońcą. Uznali jednomyślnie, że wszystko, co Bóg dopuszcza w Auschwitz-Birkenau, przestało być jedynie wyrazem jego gniewu, a jest godnym najwyższego potępienia grzechem pychy. Ogłaszając swój wyrok, rabini byli zgodni co do jednego: jeśli jesteśmy zdolni do przebaczenia ludziom, dlaczego nie moglibyśmy przebaczyć Bogu?

E p i l o g

Za granicą fikcji literackiej znajduje się świat, który nie ma żadnych granic: świat prawdy. Opowiedziany prawdziwymi historiami prawdziwych ludzi staje się czasem tak nierealny lub tak nieprawdopodobny, że zbliża się do granicy fikcji. Nie potrzeba wymyślać i układać w całość skomplikowanych fabuł. Wystarczy słuchać, obserwować, zachwycać się, wzruszać, zastanawiać lub z przerażeniem po prostu uwierzyć. Wszystkie historie opisane w tej książce są prawdziwe.

Prawdę tych ze świata nauki legitymuje sama nauka ze swoimi przypisami, materiałami źródłowymi, publikacjami lub podręcznikami. Z prawdą tych pozostałych zetknąłem się bezpośrednio. Spotykam w windzie Korkankę SuKa z *Układu odniesienia*, odwiedzam Joelle z *Czasu połowicznego rozpadu*, bywam w hospicjum opisanym w *Miłości w czasach odrazy*, staram się podczas spotkań zrozumieć ból rodziców i Marcina z *Funkcji rozkładu cierpienia*, zapraszam do siebie, słucham i pocieszam porzuconego ojca, bohatera *Dnia Matki*. Tym, co skłoniło mnie do zwrócenia uwagi na te, a nie inne historie i opisanie ich, była przede wszystkim względność przekazywanej prawdy.

Większość prawd, które dzisiaj wydają się nam oczywiste, na początku była błuźnierstwem. Dopiero czas zmienił je w prawdę. „Błuźniercą” nazwano Kopernika, „kłamcą” okrzyknięto Darwina, „zwyrodniałym mitomanem” Kinseya. Gdy Einstein na początku dwudziestego wieku przedstawiał publicznie swoją *Szczególną teorię względności*, to przez większość kolegów naukowców był traktowany jak „niespełna zmysłów żydowski heretyk”. I to nie dlatego, że jego teoria była nieprawdziwa. Równania, które w 1905 roku zaproponował Einstein do opisu czasu i przestrzeni, były w zasadzie bardzo proste, zrozumiałe nawet dla przeciętnie zdolnego studenta fizyki i tak na dobrą sprawę nikt nie mógł ich w żaden sposób podważyć. Sprzeciw i bunt wywoływało coś innego. Była to wyłaniająca się z tych równań zupełnie nieoczekiwana wizja świata. Fizyka Newtona — ta sprzed Einsteina — opisywała rzeczywistość idealną. Taką, jaka być powinna. I na dodatek, jak zakładał Newton, przewidywalną i poznawalną. Jeden układ odniesienia i absolutny porządek wynikający z wyrażonych równaniami dynamiki praw, które stały się czymś w rodzaju przykazań. To zbliżało do niezachwianej wiary w jedną siłę sprawczą, a tym samym do Stwórcy. Fizyka Newtona stała się w ten sposób analogiem etyki przeniesionej ze świata zachowań ludzi do świata zachowania się obiektów. Gdy więc nagle pojawił się Einstein ze swoimi „herezjami” o nieistniejącym absolutie, to w

pewnym sensie zburzył nie tylko fundamenty fizyki, ale cały etyczny boski porządek. Nic dziwnego, że nie przyjmowano tego z aplauzem.

Okazało się, że nie ma jednej jedynej i ostatecznej prawdy. Jest ona tak samo względna, jak wszystko inne w otaczającym nas świecie. Jest często, i to nie tylko w nauce, jedynie przybliżeniem rzeczywistości, a czasami nawet jej wygodnym — dla nas — uproszczeniem. Sprawa nie musi być koniecznie słuszna tylko dlatego, że ktoś oddał za nią życie. To, że wszyscy wokół przyznają komuś rację, wcale nie znaczy, że ten ktoś jest nieomylny. Tym kimś może być każdy. Także Bóg. Względność jego prawd może być celowa i być dowodem jego nieskończonej mądrości, ale może być także dowodem Jego pychy. Może...

Względność prawdy jest szczególnie widoczna, gdy odnosi się ją do oceny ludzkich zachowań. Przykładanie własnych miar moralności do innych jest normalną reakcją człowieka. Nienormalne i, moim zdaniem, błędne jest natomiast dokonywanie nad nimi sądu i pochopne skazywanie na potępienie lub pochwałę. Zazwyczaj wiemy zbyt mało o motywach takich a nie innych zachowań, nie znamy ani wszystkich uwarunkowań, ani wszystkich tajemnic, a przez to jesteśmy skłonni do krzywdzących uogólnień. Spoglądając z odległego zewnątrz, widzimy jedynie rozmazany w jednym miejscu i przesadnie podkolorowany w innym portret kogoś na niewyraźnym lub krzykliwie przesadzonym tle pozbawionym szczegółów. Ta optyka, z definicji, jest optyką osoby niedowidzącej. Gdy taka osoba na dodatek nienawidzi, to staje się niewidoma. Prawo do sprawiedliwego sądu nad kimś mamy dopiero wtedy, gdy zechcemy i będziemy starali się zrozumieć. A do tego potrzebne jest przekroczenie pewnej granicy intymności. Dopiero za tą granicą wolno nam zacząć budować własną teorię dobra i zła, ciągle pamiętając, że i tak będzie względna...

Janusz Leon Wiśniewski, Frankfurt nad Menem, marzec 2005

N o t k a r e d a k c y j n a

Zebrane w niniejszym tomie teksty — oprócz *O zachwycie nad słowem* i *Epilogu*, napisanego specjalnie do niniejszego wydania — były drukowane na łamach miesięcznika „Pani” w latach 2004-2005.

S p i s t r e ś c i

O zachwycie nad słowem
Układ odniesienia
Czas połowicznego rozpadu
Miłość w czasach odrazy
Zanik jednoczesny
Dzień Matki
Trzy (inne) kolory
Napięcie powierzchniowe
Przestrzeń trójwymiarowa
Vivat academia...
Przewodnictwo szkła
Chemia opłatka
Zerowanie licznika
Funkcja rozkładu cierpienia
Efekt opóźnienia
Zakłócenie teorii
Interferencje psychy
Epilog
Notka redakcyjna

